NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata miesięczna 3,000.000 Mkp.
Zagranicą podwójnie

Redaktor Naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 750.000 Marek.

Rok XXI. Kraków, 26 stycznia 1924. Nr. 4.



W rocznicę Styczniową.

W dniu 22 stycznia święciliśmy rocznicę ostatniego powstania — tego rozpacznego czynu nielicznej rzeszy zapaleńców-bohaterów, po których pozostał przez lata

...„jeno płacz niewieści
i ciche nocne rodaków rozmowy“. —

a którym dziś jawnie i uroczyście naród cały cześć oddaje miłującą. W czasie bowiem, gdy na kartach dziejów przemoc zaborcza wypisywała wyrok śmierci na Polskę i twierdziła brutalnie i szyderczo, że niema już Polaków — wybuchnął płomień powstania, który oświetlił jaskrawo wobec świata całego kłam i fałsz tych wyroków rozbiorczych.

Dzień 22 stycznia jest datą, kt ra jak pieczęć czerwona i krwawa, bo nasycona krwią bohaterów-straceńców, — wycisnęła na obojętnych kartach księgi dziejów znak niezatarty — że — Jeszcze nie zginęła!

To też słusznie w dniu tym naród cały składał hołd i cześć pamięci bohaterskich ojców naszych i czcił tych nielicznych weteranów powstania, którzy doczekali dni dzisiejszych, gdy marzenia ich stały się ciałem.

Słusznie dzień wybuchu styczniowego jest narodowem świętem, — bo z czynu tego ojców naszych, z ich mogił były te wszystkie żywe moce, które nas do Niepodległości wiodły przez długie, ciężkie lata niewoli.

Z ich to mogił wstał posiew nowego życia.



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Ministrowie Spraw Zagranicznych Małej Ententy: Duca (Rumunja) Benesz (Czechosłowacja) i Ninczicz (Jugosławja). Fot. Centr. Europ. Press.

Zjazd Małej Ententy w Belgradzie.

Konferencja ministrów spraw zagranicznych Małej Ententy, która obradowała w Belgradzie, i która takie zainteresowanie budziła w świecie politycznym Europy zakończyła się wynikami dość sensacyjnymi ale zgoła odmiennymi od tych, jakich oczekiwano.

Spodziewano się bowiem, że na zjeździe tym nastąpi „rozszerzenie“ sojuszu francusko-czeskiego przez włączenie do niego Rumunji i Jugosławji. Miało to być zamknięciem „żelaznej obręczy“, jaką polityka francuska zamierzała otoczyć Niemcy. Drugą kwestją — która miała być na konferencji podniesiona i która zwracała szczególną uwagę całego świata miała być kwestja podjęcia stosunków z Rosją sowiecką. P. Benesz miał zamiar z Małej Ententy uczynić pomost i łącznik, którego mógłby użyć do nawiązania stosunków między Francją a Sowietami, występując sam jako pośrednik i — naturalnie — wyciągając z tego pośrednictwa zyski.

Oba te punkty zawiodły.



Zjazd Małej Ententy: Gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Belgradzie, w którym odbywały się konferencje.

Jugosławja i Rumunja uznały za rzecz dla siebie nie wskazaną zaangażowanie się wyraźnie i czynnie w kierunku anty-niemieckim, zarówno jak i w pro-sowieckim. Plany p. Benesza prysnęły. Tym więcej, — że najważniejszym i prawdziwie sensacyjnym wydarzeniem dnia w czasie konferencji — stało się — porozumienie jugosłowiańsko-włoskie, a więc fakt osłabiający czeskie tendencje do wskrzeszenia i mobilizowania czynników panslawistycznych.

Konferencja belgradzka zakończyła się więc fiaskiem planów p. Benesza, które dla nas, Polski ma znaczenie dwojakie.

Fiasko konferencji jest niepowodzeniem polityki francuskiej, budującej tamę przeciw odwetowym tendencjom niemieckim i szukającej obecnie dróg do Rosji. Niepowodzenie to osłabia pozycję naszej sojuszniczki Francji w dyplomacji europejskiej i z tego powodu jest dla nas objawem ujemnym. Ale o ile fiasko belgradzkie osłabia jeszcze bardziej sytuację Czech i wobec Francji i w całym koncercie europejskim i zmusza p. Benesza do lawirowania z wysiłkiem między Francją i Anglją, do proponowania Anglji jakichś bliższych porozumień, a nawet — podobno — do zmieniania jakichś punktów w traktacie z Francją — o tyle dla nas otwiera pomyślne możliwości i wzmacnia stanowisko nasze. Wobec Francji stajemy dziś o tyle mocniej, że jesteśmy jedynym czynnikiem w Europie (obok Belgji) na który Francja w razie niebezpieczeństwa niemieckiego może liczyć z pewnością. Mała ententa ją zawiodła — zarówno w tej sprawie jak i w nadziejach rosyjskich. Że zaś jednocześnie ujawniła się w Belgradzie niewielka zwartość i spoistość owego bloku Małej Ententy, który niejednokrotnie już nas w cień usuwał, więc mamy dziś możność odzyskania znaczenia, jakie uzyskała dla Polski polityka generała Sikorskiego.

Miejmy nadzieję, że nowy nasz minister Spraw Zagranicznych, p. Zamoyski, który duże doświadczenie polityczne i trzeźwy, bezstronny sąd o rzeczach zdobył w czasie swej pracy na placówce w Paryżu — zdoła z obecnej sytuacji wyciągnąć słuszne, a przynoszące korzyść Rzeczypospolitej — wnioski.

A. S.



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Przybycie p. Benesza do Belgradu przed dworcem. (Od lewej do prawej) Minister Benesz, Dr Seba poseł czeski w Belgradzie, p. Ninczicz minister spraw zagran. Jugosławji, p. Nosicz poseł SHS. w Pradze, p. Girsa poseł czeski w Bukareszcie. Fot. Centr. Europ. Press.

„AUTO“. Ukazał się numer noworoczny tego jedynego w Polsce czasopisma sportowo-technicznego, poświęcony specjalnie wojskowemu raidowi samochodowemu. Numer otwiera piękna przedmowa w języku polskim, francuskim i włoskim pióra kpt. Szydelskiego. Dalej mamy obficie ilustrowany opis i wyniki raidu samochodowego, St. Szydelskiego nowelkę p. t. „Nocleg w Bieniakoniach“, ciekawy artykuł inż. Adama Günsza: Charakterystyka nowoczesnych konstrukcji samochodowych, Rom. Rud.: Pięć lat pracy, J. Bielińskiego: Nasze bolączki, St. Sz.: Silnik pięcio-cylindrowy bez wału korbowego, rysunki i opisy wyrobów fabryk: Renault, Berliet, De Dion Bouton, Spa, Fiat. Ciekawe wiadomości o automobiliźmie zebrane w długiej kronice, oraz dział „Z Armji“ dopełniają bogatej treści tego pożytecznego wydawnictwa. Adres Administracji: Warszawa, Złota 64, tel. 14-50. Pismo AUTO jest organem oficjalnym automobilklubu Polski.

Utwór rzeźbiarski małopolskiego artysty w Wielkopolsce.

Poniżej podajemy Czytelnikom artykuł jednego z najznakomitszych w Polsce historyków sztuki o pięknem dziele, które jako votum Wyzwolenia Ojczyzny ufundowane zostało dla fary we Wrześni przez hr. Mycielskich. Piękne to dzieło artysty i piękny czyn fundatorów. Na Wrześnię, w której ongiś płynęły łzy katowanych dzieci polskich spogląda dziś Chrystus błogosławiący z wyżyn swego krzyża męczeństwa.

W drugiej połowie minionego roku powstała na wielkopolskiej ziemi wyjątkowo piękna monumentalna rzeźba z drzewa, wykonana przez młodego snycerza rodem z Żegociny pod Bochnią. Podajemy w bieżącym numerze reprodukcję tego Chrystusa na krzyżu 3 metrów wysokości, wykutego w jednym pniu wspaniałego dębu pamiętającego czasy Grunwaldu. Fundatorami tego niezwykłego dzieła sztuki są hr. Edwardowie Mycielscy, którzy przed rokiem objęli w posiadanie rodzinny majątek Ponińskich, słynną z prześladowania polskich dzieci przez rząd pruski Wrześnię, która przez dwa stulecia z górą była własnością rodziny pani Heleny z Ponińskich Mycielskiej. Za jej to inicjatywą i jej sumptem wykonany został jako dziękczynna pamiątka oswobodzenia Ojczyzny ten wizerunek Chrystusa na krzyżu i umieszczony w samym środku zewnętrznej ściany prezbiterjum wspaniałej gotyckiej fary wrzesińskiej, powstałej na przełomie z w. XIV i w. XV.

Wykonawcą utworu jest p. Jakób Juszczyk, stojący na naszej reprodukcji pod zawieszonym właśnie na ścianie kościoła swym snycerskim utworem. Odbył on studja rzeźbiarskie w młodzieńczym wieku naprzód w Pradze a następnie przez dwa lata w Tyrolu, tem gnieździe najwspanialszych rzeźb w drzewie kończącego się gotyku. W dziedzinie malarskiej był on uczniem Juljana Fałata i śp. Jana Rembowskiego, którzy go obydwaj wysoko cenili. Przed wojną wykonał już p. Juszczyk kilka rzeźb w drzewie do kościołów małopolskich oraz wielki ołtarz i stalle do kościoła w rodzinnej Żegocinie, w sierpniu 1914 r. wstąpił jako prosty żołnierz do II. Brygady Legjonów Polskich i aż do końca r. 1922 w wojsku polskiem pozostał. Przez lata ostatnie był porucznikiem 11-go pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim gdzie w chwilach wolnych od zawodowej pracy wojskowej wykuł w wielkich dębowych ramach z białowieskiej puszczy bardzo znacznych rozmiarów dwie wypukło-rzeźbione kompozycje związane z heroicznemi dziejami Legjonów: „Przejście Legjonów z Bukowiny na Bessarabję pod wodzą jenerała Józefa Hallera w lutym 1918 oraz „Apoteozę oswobodzenia Polski" z Piłsudskim pośrodku. Oba te utwory są dziś własnością Muzeum wojska w Warszawie.



Utwór rzeźbiarski małopolskiego artysty w Wielkopolsce: Monumentalny krucyfiks, rzeźbiony w drzewie, ufundowany przez hr. Mycielskich z Wrześni i wmurowany w zewnątrzną ścianę prezbiterjum fary wrzesińskiej. — Obok krucyfiksu stoi twórca jego art. rzeźbiarz por. Juszczyk.

Wspaniały krucyfiks wrzesiński wykonany według bardzo pięknego nagiego modelu jest dziełem opartem przedewszystkiem o wielką szkołę tyrolskich Pacherów z XV wieku a przepojony duchem i wzorami rzeźb krakowskich Wita Stwosza, który był głównym mistrzem młodego artysty. Boleść silnemi płaszczyznami traktowanej postaci skoncentrowana jest wyłącznie w spokojnej, nieco na bok zwisającej bardzo szlachetnej głowie, po stać zaś cała nie jest wyascetyzowana męką ale traktowana jako piękny model zdrowego o szlachetnych formach młodego człowieka. Pięknym jest pomysł odchylenia dwóch pálców prawej ręki, błogosławiącej ludzkość i na nowo zmartwychwstałą odrodzoną Polskę. Utwór ten ukończony został po trzechmiesięcznej pracy u hr. Mycielskich we wrześniu a odsłonięcie uroczyste krucyfiksu odbyło się tamże przy licznym udziale duchowieństwa, garnizonu wojskowego, fundatorów oraz mieszczan Wrześni i okolicznego ludu w dzień WW. Świętych 1-go listopada 1923. Od ostatnich utworów por. Juszczyka znać w nim postęp ogromny, znać przedewszystkiem ostatnie studja, odbyte w Krakowie przez kilka miesięcy minionej wiosny i lata pod kierunkiem tej miary artysty-rzeźbiarza, co dyrektor Jan Raszka. Wreszcie widać również w tym krucyfiksie wpływy kilkotygodniowej podróży artystycznej, którą por. Juszczyk odbył w lipcu minionego roku w towarzystwie prof. Jerzego Mycielskiego do Drezna, Monachium i Norymbergi.

Galerja drezdeńska, obie Pinakoteki monachijskie, Germańskie Muzeum w Norymberdze, odsłoniły przed artysta, jak on to sam twierdzi nowe horyzonty wielkiej sztuki malarskiej i rysowniczej Zachodu. Antyki znowuż w Albertinum drezdeńskiem równie cudne jak Athena Lemnia lub wspaniałe kobiety z Herkulanum, a dalej cała Glyptoteka monachijska z fascynującymi zawsze archaicznością Eginatami oraz rzeźbą helleńską i rzymską epok rozkwitu otworzyły mu oczy na piękno świata starożytnego, które go wprost olśniło. Wreszcie norymberskie arcydzieła rzeźby w kamieniu, spiżu i drzewie Adama Kraffta, Pio-



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Premjer SHS. Pasicz oraz minister Benesz (z tyłu za nim) i minister Duca (we drzwiach) opuszczają gmach Jugosłowiańskiego Min. Spraw Zagr. Fot. Centr. Europ. Press.



Zgon dyktatora Rosji: Włodzimierz Uliicz Iljanow-Lenin wódz komunizmu, twórca przewrotu sowieckiego i dyktator Rosji w swym gabinecie w Kremlu. Fotografja z dni, gdy jeszcze mógł pracować

Zgon Lenina.

Twórca partji bolszewickiej, przewrotu w Rosji i czerwonego despotyzmu — *Włodzimierz Itjicz Uljanow Lenin* — nie żyje! Śmierć jego nie jest niespodzianką dla świata. Chory i sparaliżowany, oddawna zmuszony do odsunięcia się przez to od polityki — spędził Lenin ostatnie miesiące swego życia przykuty do łóżka lub fotelu.

Wskutek śmierci jego, indywidualności silnej, partja rosyjska komunistyczna straciła swój symbol widoczny i swego wodza. Stwarza to nowy groźny kryzys w bolszewiźmie.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.



Przełom w Anglji: Nowy prezydent ministrów w Anglji, przywódca socjalizmu angielskiego Ramsay Macdonald.

tra Vischera i Wita Stwosza uzupełniły w nim i pogłębiły nauki odebrane w Tyrolu i w Krakowie i dokonały zupełnej już umiejętności opanowania wielkiej monumentalnej plastyki. Ostatnie też dzieło por. Juszczyka cieszy się już dziś w Wielkopolsce bardzo znaczną popularnością a nowe zamówienia które otrzymuje świadczą, że poznano się tam na niezwykłym talencie małopolskiego artysty, przed którym nowe otwierają się drogi tworzenia dzieł sztuki zwłaszcza w dziedzinie monumentalnego i portretowego snycerstwa.

Przełom w Anglji.

Dnia 21 stycznia b. r. upadł w Anglji rząd konserwatywny Baldwina na wskutek wotum nieufności wyrażonej mu przez członków partji pracy i liberałów. W myśl zasad parlamentaryzmu panujących niepodzielnie w Anglji, król powierzył misję utworzenia gabinetu leaderowi partji pracy i opozycji w Izbie gmin: Ramsayowi, Macdonaldowi. Macdonald misję przyjął i gabinet utworzył.

Dojście do władzy w Anglji partji robotniczej jest epokowem zdarzeniem, które poruszyło cały świat. Będzie ono miało dla światowej polityki poważne następstwa bez względu na to jak długo gabinet Macdonalda się utrzyma.

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN.

Bajeczka przy kominie.

Trzeszczy żywo ogień na kominie,
Więc dziewczynka o bajeczkę prosi...
Czy o smoku i bladej hrabinie?
Czy o wiedźmie, Jasiu i Małgosi?

„Nie chcę takiej, ja wolę żołnierzy!
Ale tylko niech się dobrze kończy!
Niech na imię jemu będzie Jerzy
I niech chodzi w błękitnej opończy!".

„Niech mu złote z czoła wiszą loki
Niech miłuje czule a statecznie
Niechaj smukły będzie a wysoki...
Takiej bajki chcę! Takiej koniecznie!".

— Drobne piąstki zaciskasz z uporem,
Nóżką tupiesz gniewnie o podłogę,
Mrok zapada, jak zwykle wieczorem,
Wiesz, że dziś ci odmówić nie mogę!

Ach, wiesz dobrze, o! zadobrze o tem
Ty, djabełku z jasnemi oczyma...
A gdy prosić zaczniesz jeszcze potem —
To już żadnej rady na to niema!

Prosić umiesz miękko, pieszczotliwie,
Coś się roi w niespokojnej głowie...
Słuchaj: powiem o tym wielkim dziwie,
Co się biednem sercem ludzkiem zowie!

Cóż to, płaczesz? — Cicho moja mała!
Tak nie trzeba wszak to jeno bajka!
Oczy we łzach a twarzyczka pała...
Żal ci może wędrownego grajka?

Wszystko mija! ...I ta chwila minie,
Przejdą po nas dnie, miesiące, lata...
Patrz — wygasa ogień na kominie...
Bajka z życiem tak się dziwnie splata...



Mrozy i powodzie: W ostatnich dniach w Rosji, w krainie mrozów, powódź falami wody zalała ulice Petersburga.



Mrozy i powodzie: W Petersburgu wezbrana Newa zalała ulice nawet śródmiejskie.

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

10

— Lecz komu mam dać te pięćdziesiąt luidorów?

— Ma się rozumieć, że mnie! Uważa pan, że mój policzek nie jest wart tyle?

— Ależ pana nie uderzono!

— Owszem, uderzono moralnie!.. Niech mi pan pozwoli skończyć... Pięćdziesiąt luidorów na broń, lekarza, powozy, śniadanie...

— Czyż pan sądzi, że Piotr Cartelegue przyśle panu światków?

— Nie wiem... Może być jednak pewny, że będzie miał wizytę moich...

— Och!...

— Ma się rozumieć!... Karol Turner nie może otrzymywać bezkarnie policzków!...

— Ponieważ pan jednak nie jest prawdziwym Karolem Turnerem...

— Bardzo dobrze! Niech mi pan w takim razie pozwoli stać się Ernestem Panajonem Nie chcę pozostawać w skórze jegomościa, którego policzkuje się dowoli.

— No, dobrze! Będzie się pan bił!

— Lecz czyniąc to, narażam swą własną skórę... Oceniając to tylko na pięćset luidorów, zdaje mi się, że jestem bardzo skromny...

— Powiedziałem już raz, że dam panu czterdzieści tysięcy franków, gdy pańska rola się skończy... A teraz pan już żąda o dwanaście tysięcy więcej.

— Już? Co pan chce powiedzieć przez ten przysłówek? Czy pan podejrzewa mnie, że chcę pana obdzierać?

Maksym Duret nie odpowiedział. Myślał tylko: „To nie podejrzenie tylko, lecz pewność... Na szczęście wiem o tem dość wcześnie... Wiedziałem o tem, mój kochanku, że od chwili, gdy ci się zwierzę, każesz mi śpiewać po swojemu i śpiewać możliwie najdłużej... szukałem jednak sposobu, by przeciąć tę eksploatację... I znalazłem go... Poczekam, gdy nie będę cię już potrzebował, a wtedy zobaczysz!"

Złodziej mówił dalej:

— Zresztą tych dwunastu tysięcy nie zamierzam wcale złożyć w kasie oszczędności... Zużyję ich na podtrzymywanie powagi bogatego Australczyka... Dopóki mam pozostawać miljonerem, będę wydawał wszystko, co od pana otrzymam... Może pan być zupełnie pewnym co do tego... Banknoty pańskie nie będą butwiały w mym portfelu..

I istotnie, pomimo bardzo urodzajnej zimy, którą spędził na okradaniu pokoi hotelowych i włamywaniu się do mieszczańskich domów, Panajon podczas swej nocnej wyprawy do baronowej de Lagunan nie posiadał nawet dziesięciu luidorów. I teraz nie zbyt wiele mu już pozostawało z dwóch tysięcy franków, które Maksym Duret wręczył mu poprzedniego dnia.

Szczupłość tej sumy, która mu prawie w oczach topniała, od samego rana przyprawiała go o zły humor.

— Sto luidorów ma starczyć na odgrywanie roli nababa! — powtarzał sobie. — A gdy je wydam, ten stary Harpagon doda mi drugie sto i ani grosza nie dołoży i za to mam olśniewać Paryż swą wspaniałością! Jestem podobny z temi kilkoma groszami do żyda wiecznego tułacza!

Tymczasem Maksym Duret już się zdecydował.

— Dobrze — rzekł. — Jutro będzie pan miał swe dwanaście tysięcy...

— Doskonale! — odrzekł zadowolony złodziej. — Niech mi pan wierzy, że nigdy nie można skąpić... Nic nie kosztuje tak drogo... jak skąpstwo. Zarumieniłbym się, gdybym musiał dać skromny napiwek kelnerowi, który mi usługuje w kawiarni... Zgodziłbym się już nawet okraść go, byle tylko zostawić mu odpowiednią kwotę... Teraz — mówił dalej, zmieniając ton — inna rzecz... Karol Turner nie zna jeszcze wielkiego świata paryskiego... Kogo ma on wziąć za świadków?

Jest to dość trudne..

— Wcale nie. Czyż nie mam pana?

— Tak.. ja jednak nie mogę panu służyć z dwóch względów... Po pierwsze, jestem w przyjacielskich stosunkach z młodym Cartelegue'iem i jego rodziną...

— Po drugie — rzekł Panajon — poważny filantrop, Maksym Duret, kandydat do akademji nauk moralnych i politycznych, śmiesznie wyglądałby na polu walki przy pojedynku, który wyniknął z powodu dysputy o kobietę przy stole gry...

— Istotnie, tak!

— Nie myślałem też wcale pana prosić na świadka... Liczę tylko na pana, jako na człowieka ustosunkowanego, który pozna mnie z dwoma gentlemenami dobrze urodzonymi, dobrze wychowanymi, dobrze widzianymi, jednem słowem z dwoma odpowiedniemi świadkami dla Karola Turnera.

— To co innego.

— To zupełnie co innego.. Węzły przyjaźni, które pana łączą z Cartelegue'ami, nie przeszkadzają panu oddać mi tej przysługi... Nie może mi nawet pan jej odmówić... jeżeli pan w do skonałych stosunkach z wielkim fabrykantem samochodem, nie w gorszych pan jest i z wielkim przemysłowcem z Melbourne, który tylko do pana może się z tem zwrócić...

— Dobrze! — przerwał Maksym Duret. — Będzie pan miał swych świadków!

— Doskonale! Ludzie zupełnie *comme il faut?*

— Zupełnie.

— Kiedy i gdzie ich zobaczę?

— Przyprowadzę ich panu jutro na ulicę Boissy d'Anglas. Poproszę ich o to jeszcze dziś wieczorem.

— Jest już dość późno.

— Nic nie szkodzi.. Byli oni, a zapewne muszą jeszcze być na przyjęciu u mej siostrzenicy... Powrócę tam..

— A kto są ci panowie?

— Markiz de Baudricourt i młody Garrigue.

— Znam ich nazwiska... Markiz jest jak i pan członkiem całej masy rad zarządzających... Garrigue posiada olbrzymią fortunę zdobytą przez jego zmarłego ojca na fabrykowaniu pigułek przeciw niestrawności...

— Tak, to oni.

Samochód wjechał na dziedziniec Tuileries-Palace i zatrzymał się przed podjazdem.

— Każę się odwieźć na ulicę Ampere — rzekł Maksym Duret.

— Proszę bardzo — rzekł uprzejmie Panajon. — Samochód mój jest zawsze do twej dyspozycji, drogi przyjacielu!

Maksym Duret powstrzymał się od nerwowego ruchu. Już kilka razy podczas przyjęcia u pani de Lagunan, złodziej i filantrop odzywali się do siebie „drogi przyjacielu". Czyniąc to jednak, odgrywali rolę dla otoczenia. Prezes spodziewał się jednak, że na osobności, każdy zachowa się odpowiednio do swego położenia. Panajon pamiętał do tej pory o tem i teraz po raz pierwszy dopiero pozwolił sobie na tę poufałość.

Służący w liberji zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki. Panajon wysiadł.

— Dobra noc, drogi! — pożegnał Maksyma Dureta, czyniąc w powietrzu przyjacielski gest ręką.

Prezes jeszcze wyniośleszym tonem, niż zazwyczaj, by zaznaczyć różnicę między nimi, a o jakiej zapominał jego wspólnik, polecił mu:

— A proszę nie zapominać o śledzeniu, o jakiem panu mówiłem!

I zagłębił się w samochodzie, nie mówiąc ani jednego słowa pożegnania. Służący zamknął drzwiczki.

— Proszę odwieźć pana tam, gdzieśmy byli — rzekł Panajon do szofera.

I popatrzył z niezadowoloną miną na samochód, który odjeżdżał w stronę ulicy Rivoli. Bolał go bardzo sposób, w jaki Maksym Duret przyjął jego zbyt przyjacielskie słowa.

„Już po raz drugi tego wieczoru mówi do mnie tak, jakby król nie powiedział do chłopa — szepnął do siebie. — Ordynarny, gbur, bałwan! Sapristi! gdy kto urządza takie podłe intrygi jak ty, ten nie przybiera dumnych min wobec tego, kto je zna!...

Panajon wiedział doskonale, dlaczego Maksym Duret chce skompromitować Ludwikę Dubois. Prezes nie wyjawił mu tego i chciał kierować swym wspólnikiem, jak pajacem, którego pociąga się za sznurek. Złodziej jednak domyślił się łatwo wszystkiego i postanowił przerwać w połowie swą niegodną rolę fałszywego uwodziciela.

„Poczekajmy jeszcze, dopóki ta stara kanalja nie skompromituje się zupełnie, przedstawiając mnie całemu Paryżowi — myślał. — Dzięki temu i fałszowaniu listów Karola Turnera, będę cię trzymał w rękach i kręcił jak starym dudkiem..."

Perspektywa pognębienia Maksyma Dureta rozweseliła Panajona, u którego zresztą zły humor nie trwał nigdy długo i ustępował wkrótce miejsca wrodzonej mu wesołości. Mrucząc jakąś melodję wstępował z cylindrem na bakier na schody Tuileries-Palace i udał się do swego apartamentu. Towarzyszył mu Tetard.

— Spiesz się, ciuro! — rzekł wesoło złodziej. — Rozbieraj mnie prędzej!

Rzucił na stół kapelusz, laskę, rękawiczki, poczem siadł we fotelu, wyciągając nogi do swego nowokreowanego służącego, by zdjął mu trzewiki.

— Musimy jutro przed południem zainstalować się na ulicę Boissy d'Anglais... Tam jutro będę oczekiwał na swych świadków...

— Świadków!... Żenisz się?... — zapytał herkules bez wielkiego zresztą zdziwienia, gdyż po Panajonie mógł się spodziewać wszystkiego.

— Nie, biję się.

— Z kim?

— Z młodym Cartelegue'iem.

— Królem stu dwudziestu koni?

— Tak.

— Do djabła! Masz niezwykłego przeciwnika.

— I pojedynek będzie niezwykły... z reporterami, fotografami, z premierową publicznością... A propos! Załatwisz mi pewną drobnostkę!

Panajon wyjął z oszklonej szafy małą skórzaną torebkę, jakiej często używają chirurdzy do chowania swych przyrządów. Był to jednak futerał z narzędziami złodziejskiemi, z którego dobył mały wytrych. Potem otworzył walizkę i wydostał z niej małą latarkę.

— Weź to — rzekł, podając oba przedmioty Petardowi.

— Wytrych... Latarka... — zdziwił się herkules. — Wysyłasz mnie na kradzież?

— Wcale nie... Słuchaj uważnie... Zaraz ci wszystko wytłómaczę.

Tetard, który nie lubiał stać, wyciągnął się zaraz na fotelu.

— Nie śpij... — rzekł Panajon, wiedząc z kim ma do czynienia.

— Nie bój się, nadstawiłem uszy — zapewniał służący. — O co chodzi?

Podczas gdy fałszywy Australczyk dawał wyjaśnienia herkulesowi, Maksym Duret jechał przez bulwar Malesherbes. Opuścił w samochodzie okna, by orzeźwić się świeżem powietrzem i rozmyślał:

— Zdaje mi się, że się z tego wywikłamy, Piotr jest przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem... Najlepszym tego dowodem jest ten policzek... Również i Maixent winien być tego zdania... Po rozmowie jednak z tym mniemanym Melburnczykiem miał jakąś dziwną minę... Nie mogę być jeszcze zupełnie spokojnym...

Samochód skręcił na lewo w ulicę Ampere. Na zakręcie Maksym Duret ujrzał postać mężczyzny, który z jednego chodnika przechodził na drugi. Był to Lewis Jackson, który wyszedł już od państwa de Lagunan i wracał pieszo do domu. Szofer nacisnął trąbkę, lecz Lewis nie wiedząc na którą stronę się cofnąć, na chwilę przystanął, lecz zaraz postąpił dwa kroki w tył, by wyminąć samochód, który zakręcał w prawo. Maksym Duret zerwał się z siedzenia i wychylił naprzód.

— Proszę uważać! — krzyknął na szofera.

Jednocześnie jednak schwycił go tak silnie za rękę, iż kierownik zwrócił się na lewo. Wskutek tego samochód zmienił naraz kierunek i najechał na Lewisa Jacksona.

— Do stu tysięcy! — zaklął szofer.

Amerykanin leżał na chodniku.

— Dlaczego pan mnie złapał za rękę? — wołał szofer, zwracając się do Maksyma Dureta.

— Bo pan najechałby na niego!

— Nie najechałbym, gdyby pan siedział spokojnie!

Samochód stanął i przestraszony filantrop podbiegł zaraz do leżącego bez czucia Jacksona.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

10

— Nie nazywam się Castro — mówił szyderczo Bradmardine — to było nazwisko przybrane, teraz już niepotrzebne.

Leonora zadrżała. Zdawało się jej, że to pewnie ajent policyjny, który ją chce uwięzić.

A więc nie ujdzie już przed pościgiem! Myśl straszna.

Ale Leonora miała taki zapas energji i siły moralnej, że zawsze zdołała opanować się w porę, więc odzyskawszy spokój i zimną krew, zapytała poważnie:

— Jaki cel tej komedji? czego pan sobie życzysz?

— Celem tej komedji — mówił Bradmardine szyderczo — pochwycić cię w swoje ręce, co mi się całkowicie udało. A życzę sobie, abyś mi się moja pani zupełnie oddała, była posłuszną i w niczem nie stawiała oporu. Nikt ci z pomocą nie pospieszy, nic cię z mych rąk nie uwolni.

Leonora cofnęła się wstecz, jakby sposobić się chciała do obrony i ponownie z wysileniem energji zapytała:

— Kto pan jesteś, czego chcesz?

— Kto jestem, to obojętne, a chcę, abyś mi natychmiast wydała wszystkie papiery i listy swojej matki.

— Mojej matki? A! już wiem, niegodziwcze! To pan jesteś tym nikczemnikiem, co zatruł życie mojej matki; to pan jesteś tym kłamcą i obłudnikiem, co pod pozorem przyjaźni i życzliwości chciał matce wydrzeć jedyne dziecko. Znam cię już teraz panie Jasonie Bradmardine! Pogardzam tobą, nienawidzę cię złoczyńco i papierów nie wydam nigdy, rozumiesz rozbójniku!

Mówiła z uniesieniem, płomienna gniewem i energją. Bradmardine nie spodziewał się takiej energji, takiej śmiałości.

Był pewien, że sierotę odrazu zastraszy i zmusi do posłuszeństwa. Spotkawszy taki opór i upór, widzi, że raczej spokojną ene gją i stanowczością niż groźbami celu dosięgnie.

— Pojmuję uniesienie pani; wcale mu się nie dziwię, nawet je oceniam należycie, ale to wszystko, co pani mówi, nie zniewoli mnie wcale do odstąpienia od moich żądań. Skoro pani słyszałaś o mnie od swej matki, to zapewne i to ci powiedziano, że jestem wytrwały, stanowczy, przed niczem się nie cofam, byle celu dopiąć. Na długie rozprawy z panią nie mam czasu. Muszę się spieszyć. Jeżeli mi nie oddasz dobrowolnie wszystkich dokumentów i listów, użyję przemocy, bo je mieć chcę, mieć muszę i mieć będę! Rozumiesz pani? ja je muszę mieć!

To rzekłszy, zbliżył się do Leonory z iskrzącym wzrokiem.

— Precz odemnie! — krzyknęła Leonora, wyprostowawszy się dumnie i wyciągnęła rękę, jakby chwytała za broń.

Bradmardine spostrzegł ten ruch.

— To się na nic nie przyda. Chcesz pani chyba skończyć jak bohaterka tragedji. Nie sprzeciwiam się temu. Chcesz swojej śmierci, to ją znajdziesz; ja twej broni się nie lękam. Oddaj papiery, które masz pewnie przy sobie.

Z temi słowy rzucił się na Leonorę, schwycił ją za ręce i przewrócić usiłował. I teraz spotkał się z oporem niespodziewanym. Leonora była silną; rozpacz siły jej wzmogła, wyrwała się z rąk napastnika, odepchnęła go tak gwałtownie, że aż się zatoczył o kilka kroków.

— Ha! jędzo piekielna! Dość tego. Giń, przepadnij!

Przyskoczył do Leonory, wściekłość zdwoiła mu siły; chwycił ją za gardło, ścisnął jedną ręką, a drugą szukał papierów. Ryczał z wściekłości, nie mogąc ich znaleść w ubraniu swej ofiary. Leonora raz jeszcze wyrwała się z rąk napastnika, raz jeszcze odepchnęła go, ale siły jej wyczerpane oporem i walką opuszczać ją zaczęły; wydała straszny krzyk rozpaczy i runęła zemdlona na posadzkę.

Bradmardine rzucił się na nią, rozerwał suknię na piersiach i sięgał po ukryte papiery, gdy nagle drzwi się rozwarły, wpadła postać kobieca, napastnika odepchnęła od Leonory i przyłożyła mu do głowy rewolwer.

Leonora ocknęła się z omdlenia. Ze zdumieniem poznała w przybyłej kobiecie siostrę sennora Castro, a jeszcze większe było przerażenie Bradmardina, gdy zobaczył wdowę O'Neil, swą powiernicę, z rewolwerem przy swej głowie. Rozjaśniło mu się teraz, w jaką wpadł matnię. Zaklął strasznie, wściekle.

— Nie gniewaj się pan tak bardzo, sennor Castro, Jasonie Bradmardine, panie Brady. No, nie ja temu jestem winien, że się panu zachciało mieć kobiecego ajenta policyjnego! No, przecież pysznie wyglądałem, jako wdowa O'Neil. Tak, mój zacny panie Jasonie Bradmardine, teraz już chyba pojmiesz, że wiem dobrze o wszystkiem, o tym pościgu za tą panią, aby ją pozbawić wszystkiego, a zdobyć miljonową sukcesję, no i tak dalej i tak dalej. Tymczasem zostaniesz tu mój łaskawco, abyś sobie rozmyślał o przeszłości i przyszłości, a pani poszuka sobie bezpieczniego mieszkania.

Bradmardine pienił się ze złości, miotał przekleństwa na Stuarta, ale ten uśmiechał się obojętnie i bawił się widocznie wściekłością zbira.

— Panno Armyn — rzekł Stuart do Leonory z uprzejmym ukłonem — proszę ten rewolwer trzymać nad głową pana Bradmardina, dopóki nie załatwię jeszcze małej formalności.

Leonora pochwyciła rewolwer i mierzyła dobrze w głowę opryszka.

Tchórz, jak każdy nikczemnik, nie opierał się, dał z sobą wszystko robić, co się Stuartowi podobało. Stuart skrępował mu ręce i nogi powrozami.

— Teraz nie będziemy już pana trudzili swoją obecnością. Zapewne się pan dziwisz, jakim sposobem dostałem się tu, tak bardzo w porę, mimo, że pan zamknąłeś pokój? No poprostu przewidziałem pańskie zamiary i przepiłowałem zasuwę u zamku tak, że pod silnem szarpnięciem musiała się złamać. Jeszcze bardziej pana to dziwi, że cię w tej chwili nie oddaję do więzienia; mógłbym to uczynić, ale muszę innym pozostawić przyjemność rozprawienia się z rycerzem, walczącym o miljon sierocego spadku. Tymczasem ostrzegam: wara od panny Leonory Armyn, wara od owej kobiety, którą napadłeś raz i cężko zraniłeś, którą ci drugi raz na ulicy z rąk wydarłem. A jeżeli ci, zacny panie, owych papierów tak bardzo potrzeba to udaj się po nie do mnie. A teraz wdowa O'Neil żegna cię zacny mistrzu, bo już jej zapewne nie będziesz po rzebował.

Rzuciwszy pogardliwe na Jasona spojrzenie, wyszedł Stuart z Leonorą.

Na schodach zatrzymała się Leonora i rzekła:

— Ocaliłeś mi pan życie. Jestem wdzięczna, bardzo wdzięczna. Śmierci nie lękam się wprawdzie, ale z rąk tego człowieka zginąć nie chciałam. A teraz czy wolno pana o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— W tem przebraniu za kobietę domyślam się pana Neil Stuarta, czy zgadłam?

— Istotnie. Jestem Neil Stuart, gotów służyć pani opieką, jak najlepszy przyjaciel.

— Dziękuję. Czy mam iść z panem?

— Na razie będzie to dla pani najbezpieczniej. Mój powóz czeka pod bramą, zawiozę panią w spokojne i bezpieczne miejsce.

— Dziękuję.

Siedli do powozu, nic do siebie nie mówiąc, bo Stuart nie chciał mówić głosem przybranym a własnym mu nie wypadało w przebraniu kobiecem; Leonora zaś była bardzo zmęczona.

Kilka razy zapytywał Stuart po cichu, czy nie czuje się słabą.

Uspokajała go, dopiero gdy przejeżdżali kolo jakiejś apteki, nagle zawołała:

— Słabo mi, mdleję, wody!

Stuart pobiegł do apteki, wraca z wodą, eterem, amoniakiem; spieszy ku powozowi, a w powozie niema Leonory.

XX.

ROZDZIAŁ BEZ TYTUŁU.

W mieszkaniu Stuarta była główna kwatera Ferrarsa i Jocellyna. Tam się schodzili, tam naradzali, tam układali plany. Właśnie Francis Ferrars zagrzebał się w stosie papierów, studjował je starannie, rozmyślał nad nimi.

Były to listy Bradmardina, przez Stuarta znalezione i liczne notatki Stuarta.

Nagle wpadł Stuart do pokoju, zrzucił z siebie z pośpiechem ubranie kobiece i usiadł w fotelu, nie mówiąc nic, nie witając się nawet z przyjacielem.

Ferrars patrzał nań zdziwiony, ale mu nie przerywał milczenia. Po chwili zerwał się Stuart, wyciągnął rękę do Ferrarsa i zawołał:

— Dzień dobry. A to dziewucha z piekła rodem! No proszę, wyobraź sobie: uciekła znowu!

— Leonora Armyn?

— A ona, ona! Drugi raz wywiodła mnie w pole!...

— Jakże się to stało?

— Zaraz opowiem. Ale sprytna, niech ją djabli biorą — dodał, śmiejąc się wesoło.

Chciał opowiadać, gdy zjawił się Jocellyn i, zobaczywszy Stuarta, spytał z uśmiechem:

— Jak się masz wdowo O'Neil? Czy już po robocie?

— Oho! już niema wdowy O'Neil; przepadła na zawsze dla swego pana Bradmardine.

— Ej? cóż takiego?

— Dobrze, żeś w porę przyszedł; nie będę potrzebował dwa razy opowiadać. Siadaj, nie rusz się, nadstawcie uszy obydwaj i słuchajcie.

Stuart opowiedział całą przygodę z wszystkiemi szczegółami; wszystko, co się stało z sennorem Castro i z Leonorą; jak przepiłował zamki, jak za drzwiami przysłuchiwał się rozmowie Bradmardina z Leonorą, jak ją obronił a Bradmardina związał i jak mu Leonora uciekła.

— Dwie godziny szukałem jej po całem mieście. Znikła, jakby w ziemię zapadła.

— A mówię ci zawsze Neil, że kobieta nawet djabła w pole wywiedzie, a nie dopiero Stuarta — żartował Jocellyn.

— Żart żartem, moi drodzy — rzekł Ferrars — ale co teraz?

— Trzeba Leonory szukać — odpowiedział Stuart. — Ja się tego już nie podejmę. Raz dla tego, że mnie zna i zawsze się spłoszy; nie mam do niej szczęścia; a powtóre dlatego, że ona mi zupełnie niepotrzebna.

— A podejrzenia o morderstwo męża? — wtrącił Ferrars.

— Bezpodstawne! Ona niewinna, za to ręczę i wnet będą na to dowody. Niech jej szuka Ferrars, jako dziedziczki miljona.

— A Bradmardine?

— Związany w mieszkaniu wdowy O'Neil. Zajmijcie się jego losem; mnie już pilno do zamieszkania z piękną panną.

— Żartujesz — rzekł Jocellyn — a to przecież sprawy tak ważne.

— Właśnie dlatego pilno mi do ładnej panny.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwości. A co do Leonory, zaręczam ponownie, że niewinna. Ukrywa jakąś tajemnicę, którą tu z sobą przywiozła już ze wsi i dlatego ucieka, chowa się, chroni, ale morderczynią nie jest i być nie mogła. Wierzcie mi, zapewniam stanowczo. Dowiecie się niedługo. A teraz bądźcie zdrowi.

Uporządkował na sobie ubranie i wyszedł.

XXI.

NIEPOTRZEBNY KUZYNEK.

Upłynął tydzień od owego dnia i trzej przyjaciele przez ten czas prawie nie widzieli się ze sobą. Stuart przepadł bez wieści. Jocellyn i Ferrars tyle mieli zajęcia, że na schadzkę nie było czasu.

Tymczasem Durand wyjechał nagle w interesie do St. Louis, a że lekarz doradził jego żonie zmianę powietrza, więc i ona pojechała z mężem. Laura została sama. Żeby jej oszczędzić kłopotów z doglądaniem służby i gospodarstwem, przyjęto na kilka tygodni bardzo przyzwoitą osobę starszą do zarządu domem.

Był dzień chłodny, ponury, dżdżysty. Laura siedziała w swym buduarze przy kominku i piła czekoladę.

Ubrana, jak zawsze, z gustem i przepychem. Służący podał na srebrnej tacy listy z poczty przyniesione.

Uj ęła pierwszy z kraju.

Uśmiechnęła się radośnie i czytała:

„Korespondencja z panią uszczęśliwia mnie prawdziwie. Otrzymałem bilet pani, niestety tak oszczędny w słowach. I za to dziękuję pełen wdzięczności. Wiadomość o przyjeździe rodziców pani zdziwiła mnie niezmiernie. Prawdziwa to dla mnie niespodzianka. Pewnie pani dotkliwie uczuwa swoje osamotnienie. Nie wiem, kiedy

będę mógł wrócić do Chicago, ale gdy wrócę, pierwsze kroki skieruję ku tej, która mi pozwoliła łaskawie nazywać się swoim wiernym przyjacielem

Neil Stuart".

— Doskonale! wybornie! — szeptała do siebie Laura. — Głupiec! wpada już w sieci. Rozkocham go, roznamiętnię i wtedy będzie dla mnie znakomitem narzędziem do zdławienia tej jędzy. Nelly Brown zginie z jego ręki.

Zatarła ręce z radości. Bierze list drugi. Ten zachmurzył:

„Droga moja Lauro!

Dziwię się, że tak bardzo zapominasz o mnie. To się nie godzi. Stęskniona za Twem towarzystwem, przybędę do Ciebie. Musisz pojechać ze mną na sprawunki. Każ, aby powóz był w pogotowiu. Twoja do śmierci

Nelly Brown".

— Bezwstydna! — syczała Laura — zuchwała! Oby już raz kark jej skręcił!

Trzeci list rozgniewał ją jeszcze bardziej:

„Moje kochane dziecko!

Przybyliśmy tu szczęśliwie. Ciesz się, bo matka znacznie zdrowsza. Prawdopodobnie zatrzymamy się tu nieco dłużej dla spraw bardzo ważnych, ale Tobie uprzyjemnimy osamotnienie, bo przybędzie do Ciebie mój bratanek.

„Gdyśmy Cię adoptowali, mieliśmy zamiar pozostawić ci w spadku cały nasz majątek, bo nie wiedziałem wówczas, że mam bliskiego krewnego. Miałem wprawdzie brata, ale jeszcze w młodzieńczych latach opuścił dom rodzicielski i przepadł gdzieś bez wieści. Byliśmy przekonani, że umarł bezpotomnie. Tymczasem wczoraj zjawił się u nas młody człowiek i udowodnił metrykami, że jest jedynym synem mego brata, zmarłego niedawno w wielkim ubóstwie. Oczywiście, że mam święty obowiązek zaopiekować się opuszczonym sierotą i uczynić go moim spadkobiercą. Ty atoli kochane dziecko nie lękaj się o swoją przyszłość. Otrzymasz od nas znaczny kapitał, abyś z procentów od niego wygodnie, bez troski żyć mogła, albo na posag go obrócila, jeżeliby ci za mąż wyjść wypadło.

„Mój bratanek Artur przyjedzie w piątek do Chicago i oczywiście zamieszka u nas. Bądź tak dobra, staraj się o to, aby mu na niczem nie zbywało. Niech mu pani Richards urządzi wygodny pokój, a Ty, moje dziecko, bądź dla niego miłą towarzyszką i uważaj go za swojego kuzynka.

„Spodziewam się, że mu nie odmówisz sympatji, a bardzoby mnie ucieszyło, gdyby Was z czasem silniejsze węzły połączyły. Równocześnie piszę i do niego, a pani Richards wręczy mu list, gdy się zgłosi. Przyjm od nas obojga serdeczne uściśnienia. Twój

H. Durand".

Przeczytawszy ten list, Laura skamieniała. Ścisnęła ręce kurczowo, osłupiałym wzrokiem spoglądała w dal, jakby jakieś dziwne widmo zoczyła.

Po chwili przetarla oczy, przyłożyła dłonie do czoła, jakby ze snu twardego zbudzona. Zerwała się z siedzenia, pobiegła do szafy, porwała jakiś flakonik i przyłożyła go do ust.

Krople ją uspokoiły. Zaczęła ponownie list czytać i czytała do końca.

— Ha! ha! myślicie, że tak łatwo pozwolę się pozbawić miljonów, które odziedziczyć miałam? — szeptała do siebie. — O, ty niepotrzebny kuzynku, pożałujesz swojej wizyty w Chicago. W piątek ma przybyć! Ależ to dziś! A więc już tak prędko! Przybywaj sobie niepotrzebny kuzynku!

Zadzwoniła i kazała zawołać pani Richards; potem schowała dwa listy, a ten od Nelly Brown zmięła w dłoni i rzuciła na kominek; ale do ognia nie wpadł, jeno przed kominek się potoczył.

W kilka minut zjawiła się pani Richards, osoba bardzo miła, wielce podobna do tej, którą przed kilku miesiącami Stuart od mordercy uwolnił, a potem wyrwał na ulicy z rąk Bradmardina.

— Niech pani siada — rzekła Laura bardzo uprzejmie.

— Ależ to dziś chłodno — mówiła pani Richards — siądę sobie przy kominku. O, już ogień dogasa, możeby dołożyć drzewa?

— Dziękuję pani, to niepotrzebne; ja lubię chłód. Czy pani wiadomo, że gość do nas przyjedzie?

— O tak; właśnie pisał do mnie pan Durand, że jego bratanek będzie tu mieszkał i polecił mi w urządzeniu dla niego pokoju stosować się do życzeń pani.

— Ojciec pisze, że kuzynek przyjedzie w piątek, a więc już dziś. Musimy go przyjąć wspaniale. Ale, ale, pani otrzymała podobno list do kuzynka Artura?

— A tak.

— Chciałabym go sama wręczyć kuzynowi, niech mi pani ten list przez służącą przyszle.

— I owszem. Teraz muszę poczynić przygotowania, dopatrzeć obiadu.

Wstając z krzesła upuściła przy kominku chusteczkę do nosa.

— A! moja chustka — zawoła, schyliła się prędko, podniosła ją a wraz z chustką i zmięty list od Nelly Brown.

Upłynęło pół godziny; Laura doczekać się nie mogła listu, więc posłała służącą. Pani Richards kazała przeprosić, że gdzieś list zapodziała i znaleść nie może, ale natychmiast go sama przyniesie, skoro tylko wyszuka.

Tymczasem nadeszło południe i właśnie, gdy Laura kończyła się przystrajać, anonsowano Artura Duranda.

Laura przyjęła go z uprzedzającą grzecznością, sama go zaprowadziła do pokoju, który mu przygotowano, okazywała największą troskliwość o to, aby miał urządzenie jak najwygodniejsze.

Wywarł na nią wrażenie nie szczególne; wyglądał na studenta mało obytego w świecie. Niezgrabny, nieśmiały, blady i mizerny, jasny blondyn nie podobał się Leonorze. Było w nim coś chorowitego. Opowiadał, że ojciec polecił mu uczyć się prawa i zostać kiedyś adwokatem, ale on do tego nie ma żadnej ochoty, więc teraz, gdy stryj się nim zaopiekował, zabierze się do czego innego. Laura podtrzymywała tę rozmowę z uprzejmością grzecznej gospodyni, ale wnet ją to znudziło, więc pożegnała kuzynka i udała się do swego buduaru.

Zeszli się dopiero przy obiedzie.

Zaledwie wstali od stołu i udali się do salonu, zaanonsował służący pannę Brown.

— Poproś do salonu.

Weszła Nelly, ubrana bardzo elegancko, z tą pewnością i śmiałością, z jaką wchodzić się zwykło do serdecznych przyjaciół. Laura przywitała się z udaną słodyczą, przedstawiła jej Artura i wciąż tytułowała ją najdroższą przyjaciółką.

Artur ukłonił się niezgrabnie, bąknął kilka słów o pogodzie, potem rozsiadł się w fotelu i do rozmowy przyjaciółek nie mieszał się wcale.

— A więc pojedziesz ze mną na sprawunki — odezwała się Nelly takim tonem, że brzmiało to raczej jak rozkaz, niż zapytanie — a pan zapewne wybaczy, że Laura pana opuści.

— Bardzo proszę mną się nie krępować — rzekł Artur — ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to wolałbym z paniami pojechać.

— Czy tak? — odezwała się Laura, spoglądając kokieteryjnie na Artura. — Jeżeli ci to przyjemność sprawi, kochany kuzynku, to pojedziesz z nami.

Pannie Brown było to nie na rękę, ale nie chciała tego dać poznać po sobie, tylko odezwała się do Laury:

— Może przejdziemy do buduaru i naradzimy się jeszcze nad sprawunkami. Takie narady kobiece znudziłyby pana zapewne.

— Nie chciałbym paniom przeszkadzać. Skorzystam z tego czasu, gdy panie będą się naradzały i napiszę do stryjaszka.

To rzekłszy, wyszedł ze salonu ziewając.

— Święty Boże! cóż to za gamoń — zawołała Nelly oburzona — gdzieżeś go sobie wyszukała?

— Nie wyszukałam go wcale. Jest to bratanek mego przybranego ojca i do tego bardzo bogaty — dodała z naciskiem.

— Czy możemy swobodnie rozmawiać?

— Najswobodniej; tu nas nikt nie usłyszy i dlatego zapytuję się pani, czego sobie właściwie życzysz? Postępowanie pani zaczyna być natrętne!

Nelly wzruszyła ramionami i rzekła spokojnie:

— Zapominasz pani, że pewne okoliczności pozwalają mi na to.

— A ja myślę, że pewne okoliczności mnie pozwalają pozbyć się raz na zawsze towarzystwa pani.

— Ha! ha! ha! szczególna pomyłka — rzekła szyderczo panna Brown i zaczęła Laurze coś szeptać do ucha.

Laura zadrżała i zbladła, ale wnet opanowała się zupełnie i w zamian pannie Brown pocichu coś powiedziała.

Wtedy Nella przeraziła się, ust nie mogła otworzyć, płomienie na twarz jej wystąpiły.

— A widzisz, że jesteś w mojej mocy — mówiła Laura — i bardziej ty mnie lękać się musisz, niż ja ciebie.

Nelly ocknęła się, opanowała zupełnie i wyjąwszy portmonetkę z kieszeni, dobyła z niej kawałek czarnej materji; trzymając ją w palcach, podsunęła Laurze pod oczy i rzekła, cedząc każde słowo z naciskiem:

— Czy pani to zna? A wiesz gdzie to znalazłam i co to znaczy? To bardzo wymowne i dlatego radzę nie straszyć mnie groźbami.

To rzekłszy schowała kawałek czarnej materji do portmonetki, z lodowatym spokojem. Laura walczyła z niepokojem i wzburzeniem, chciała je pokryć obojętnością, ale było widoczne, że ten kawałek czarnej materji i lodowate słowa Nelly, zadały jej cios dotkliwy.

Nelly to dobrze widziała i dlatego, chcąc wyzyskać zwycięstwo, postanowiła jeszcze jeden cios zadać nieprzyjacielowi.

— Otóż radzę ci panno Lauro nie sprzeciwiać mi się w niczem. W przyszłym tygodniu będzie w klubie bal maskowy; ja pójdę i pani również.

— Cóż to? rozkazy?

— Nie rozkazuję wcale, ale pani sama uznasz, że to potrzebne, aby niejednego się dowiedzieć. Ale, ale... — co porabia przyjaciel pani ajent Stuart.

— Czy pani nim się interesuje?

— Panem Stuartem mało, ale interesuję się panią. Wszakże tyle nas rzeczy łączy, że nietylko mogę, ale muszę interesować się wszystkiem, co dotyczy osoby pani. Czy pani ma jakie zamiary względem niego?

— Jakie zamiary?

— No, tak, zamiary małżeńskie; nie myślę przecież, abyś powzięła zamiar zamordować pana Stuarta.

— Stuart jest moim przyjacielem.

No i powiernikiem.

Laura chciała coś w rozdrażnieniu odpowiedzieć, ale się powstrzymała, zadzwoniła, kazała służącemu, aby powóz zajechał i poszła do buduaru przebrać się na ulicę.

W kwadrans potem jechały obydwie z kuzynkiem Arturem w takiej harmonji, jakby je najlepsza przyjaźń łączyła.

Zaledwie wyjechały, zawołała pani Richards pokojówkę i rzekła do niej bardzo uprzejmie:

— Dokucza mi reumatyzm, a muszę prędko list napisać; proszę cię, wyręcz mnie i napisz, co ci podyktuję.

Dziewczyna poczytywała to sobie za zaszczyt, że może zarządczynię domu wyręczać w pisaniu listu, więc oczywiście z całą gotowością podjęła się tego.

Tymczasem Laura i Nelly zwiedzały wszystkie pierwszorzędne handle, zatrzymując się w nich dość długo, bo kuzynek Artur okazywał wiele naiwnej ciekawości, wszędzie się gapiowato rozglądał.

Nareszcie zatrzymały się w State Street przed bardzo wspaniałym magazynem, gdzie spotkały trzech młodych mężczyzn.

Jeden z nich ukłonił się bardzo uprzejmie. Laura odpowiedziała na ukłon przyjacielskim uśmiechem, a Nelly Brown dała mu znak, aby się zbliżył i stanął przy niej, powiedziała mu kilka słów po cichu.

Dwaj towarzysze przywołanego przez pannę Brown mężczyzny, zatrzymali się na boku i przypatrywali się obu paniom.

— Patrz Ferrars, ta dziewczyna, co zawołała Fergusa, to panna Brown, czyli dama z opalami, a jej towarzyszka, to pewnie panna Durand, pierwszy raz ją widzę, ale na Boga, to dziwne.

To rzekłszy Jocellyn wpatrywał się w Laurę z napiętą uwagą, szczególnie jej oczy dziwnie w nim budziły wspomnienia.

Natomiast Ferrars nie odrywał oczu od Nelly Brown.

— Kto ta dziewczyna? kto? — pytał Jocelyna.

— Wszakże ci powiedziałem, że to dama z opalami; mieszka w domu przytykającym do nieszczęsnej willi Arteveldta.

— Ciekawe, ciekawe — mówił do siebie Ferrars.

Tymczasem Fergus odłączył się od kobiet, wrócił do towarzyszy i poszli wszyscy trzej razem.

Kobiety wsiadły do powozu i pojechały do pensjonatu pani Rogers, gdzie Nelly wysiąść chciała. Po drodze sięgnęła do kieszeni i spostrzegła, że nie ma portmonetki. Rzuciła podejrzliwie okiem na Laurę, będąc przekonaną, że towarzyszka dla owego skrawka czarnej materji portmonetkę jej skradła.

XXII.

SPADKOBIERCZYNI MILJONOW.

Francis Ferrars przez ośm dni krążył wciąż około swej apteki, przed którą Leonora Stuartowi zniknęła. Nabrał przekonania, że nigdzie daleko od owego miejsca odbiegnąć nie mogła, bo Stuart byłby ją przecież dopadł, skoro puścił się za nią w przyległe ulice; nasunęła mu się też uwaga, że może pod pozorem zasłabnięcia do apteki weszła i przypadkowo w domu aptekarza schronienie znalazła.

Dlatego zaglądał codziennie do apteki pod różnymi pozorami; zawsze tam coś kupił i rozmowę z aptekarzem zewiązywał.

Atoli mimo najzręczniejszych zabiegów niczego dociec nie zdołał. Już nawet tracił nadzieję wszelką, gdy pewnego wieczoru, przechodząc koło apteki, spostrzegł, że okna na pierwszem piętrze nie zasłonięto storami.

Wpatrzył się w nie i zobaczył dwie kobiety, jak przez okna spoglądały na oświetloną ulicę, żywo z sobą rozmawiając.

Jedna była to osoba starsza, o szlachetnym i rozumnym wyrazie twarzy, a druga młoda, piękna, okazałej postaci. Wiedział dobrze, że w całym domu nie mieszka nikt inny, prócz aptekarza i jego żony, tudzież dwojga służby.

Owa młoda osoba jest zatem albo gościem, albo też dziedziczką milionowego dziadka.

Jeżeli jest gościem, to zapewne przez noc nie zostanie. Ferras pozostał przez całą noc na stanowisku i nie spuszczał z oka apteki. Gość nie wyszedł, a zatem znalazła się poszukiwana dziedziczka milionowego dziadka.

Co teraz czynić? Jeżeli się ukrywa, to niezawodnie aptekarz nie odsłoni jej incognita, a dopytywanie może nawet ją spłoszyć.

Trzeba działać odrazu, stanowczo i ryzykować, że może wyniknie z tego jaka pomyłka. Korzystając z chwili, kiedy aptekarz bardziej niż zwykle był zajęty, wszedł Ferrars śmiało na pierwsze piętro, otworzył wytrychem drzwi klatki schodowej, potem przeszedł kilka schodów i zatrzymał się przed drzwiami mieszkania. Usłyszał w pokoju mowę kobiecą, więc zapukał do drzwi i nie czekając odpowiedzi, otworzył je i wszedł.

Przy stole siedziały te same kobiety, które wczoraj wieczorem widział w oknie. Ukłonił się z właściwą sobie elegancyą i rzekł bez najmniejszego zakłopotania:

— Panie wybaczą, że przychodzę tak niespodzianie. Zależało mi na tem, żeby jak najprędzej pomówić z panną Leonorą Armyn.

Leonora zerwała się z krzesła i spojrzała na Ferrasa niespokojnie. To go upewniło, iż się nie pomylił.

— Pani wybaczy, że tak obcesowo tu wszedłem, ale pewien jestem przebaczenia, skoro się pani dowie o wszystkiem.

— Czego pan żąda? — zapytała Leonora cokolwiek uspokojona, przypatrzywszy się uczciwej twarzy Ferrasa.

— Jestem najżyczliwszym przyjacielem pani i przybywam po to, aby panią ochronić od prześladowań zawziętego wroga. Jeżeli mi pani ufa, opowiem wszystko; a jeżeli pani mniema, że na zaufanie nie zasługuję, oddalam się natychmiast.

— Jak pani sądzi, pani Welkins — zapytała Leonora.

— Może ten pan pragnie coś ważnego powiedzieć, dlaczegóż go nie wysłuchać? — odpowiedziała starsza kobieta. — Jednak pragnęłabym wiedzieć z kim mam przyjemność mówić?

Ferrars uśmiechnął się i z poczciwą jowialnością odpowiedział:

— Jestem pewien, że będziecie panie cierpliwiej i chętniej słuchały, nie wiedząc jeszcze kim jestem. Popełniam wielki grzech towarzyski nie przedstawiając się paniom, ale ten grzech w tej chwili jest bardzo potrzebny.

To powiedziawszy, dobył z portfelu papiery i podał je Leonorze. Ona spojrzała na nie i ogarnęło ją głębokie wzruszenie. Były to listy jej matki do Bradmardina pisane.

— Skąd pan wziąłeś te listy? — spytała Leonora.

— Odebrano je wrogowi pani Jasonowi Bradmardine.

— Czy pan go zna?

— Tak pani. Tego nikczemnika trudno nie znać tym, którzy panią otaczają największą życzliwością.

W tej chwili wszedł aptekarz i zobaczywszy obcego człowieka, stanął zdumiony, mierząc Ferra sa pytającym wzrokiem.

Leonora tłómaczyła aptekarzowi, że przybysz ma być jej przyjacielem i że właśnie zamierza opowiadać o sprawach, które są dla niej nadzwyczaj ważne.

— Czy mogę i ja wziąć udział w tej rozmowie? — zapytał aptekarz.

— Najgoręcej o to pana proszę — odpowiedziała Leonora.

— Co do mnie — wtrącił Ferrars — to powiem szczerze, że pańska obecność bardzo pożądana. A teraz proszę posłuchać ciekawej historyi. Jakoś mniej więcej przed dwudziestu laty wyjechał w podróż jedyny syn bogatego pana angielskiego. Zatrzymawszy się we Francji poznał tam uroczą pannę, córkę szlachcica francuskiego, który niegdyś ożenił się z piękną i zacną wieśniaczką włoską. Ten mezalians usunął go od rodziny, więc żył na uboczu, wychowując najstaranniej jedyną swoją córeczkę, bardzo piękną i zacną, właśnie tę, z którą ów jedynak angielskiego pana się ożenił, wbrew woli swojego ojca. Ojciec wybrał dla niego narzeczoną w Anglii, córkę jednego z poważnych lordów, więc dowiedziawszy się o potajemnem małżeństwie syna, oburzył się niezmiernie i małżeństwo zerwać postanowił.

Młoda para żyła tymczasem w południowej Francyi w ukryciu, ciesząc się wzajemną najtkliwszą miłością. Szczęście młodych ludzi wzmogło się jeszcze, gdy ich Bóg obdarzył córeczką. Żyli w ukryciu, o którem nikt nie wiedział, oprócz jednego człowieka. Był to daleki krewny młodego Anglika, oświadczający mu z przyjaźnią i serdecznością bez granic. Młody Anglik ufał mu zupełnie; tymczasem ów przyjaciel doniósł anonimowym listem ojcu młodego Anglika, gdzie się młoda para znajduje a zarazem, pod jakimś pozorem nakłonił przyjaciela do wyjazdu do Anglii na czas krótki. Młoda mężatka została w domu sama z dziecięciem, wtedy przybywa ojciec jej męża i w sposób szorstki, bezwzględny, czyni jej wyrzuty i wręcz oświadcza, że tego małżeństwa nie uzna i synowi do niej wrócić nie pozwoli. Biedna kobieta zalała się łzami i nie mogła obronić się niczem przed dotkliwą zniewagą.

Dumny pan wyjechał, syn jego nie wracał, więc biedna kobieta niepokoiła się bardzo sądząc, że mąż ulegnie rozkazom ojca i porzuci żonę i dziecko. Tymczasem ten mąż zapadł w ciężką chorobę i całe tygodnie spędził między życiem a śmiercią, a natomiast przybył ów kuzynek i przyjaciel i okazując największe współczucie opuszczonej kobiecie, zapewniał ją, że mąż do niej nie wróci, że czyni starania o zerwanie małżeństwa i dodał jeszcze, że jego ojciec czyha na życie jej i jej dziecka. Nieszczęśliwa uwierzyła mu z całem zaufaniem.

Lęk o dziecko, obrażona duma kobiety, opanowały ją zupełnie. Postanowiła więc ukryć się, aby jej i jej dziecka mściwa ręka dumnego pana angielskiego nie dosięgła. Miała wielki żal do męża, ale mu nie złorzeczyła. Zmieniała wciąż miejsce pobytu, stosując się do fałszywych wskazówek fałszywego przyjaciela. Tymczasem mąż wyzdrowiał i pospieszył do żony. Nie zastawszy jej, szukał pełen niepokoju, dopóki fałszywy przyjaciel go nie zapewnił, że ta żona niegodną jest jego miłości, bo z jakimś Włochem uciekła. Nieszczęśliwy człowiek uwierzył fałszywemu przyjacielowi, popadł w rozpacz i umarł złamany żalem i tęsknotą.

Owym fałszywym przyjacielem, owym sprawcą ca ego nieszczęścia był: Jason Bradmardine. Postanowił zgubić jedynaka bogatego pana, aby pozyskać milionową sukcesję.

Zawadzała mu jeszcze córka przyjaciela, więc śledził ją i ścigał aż do tej chwili, chcąc ją życia pozbawić. Ale ta jego walka o milion daremna. Ów pan angielski jest wprawdzie człowiekiem dumnym ale zacnym i honorowym. Zacność nakazuje mu przytulić dziecko swojego jedynego syna i wynagrodzić mu te krzywdy, jakich jego rodzice doznali; poczucie honoru nie dozwala mu oddać swojego mienia w ręce człowieka, którym pogardza. Dlatego polecił mi, abym wyszukał mu wnuczkę i przywiózł ją do Anglii, gdzie na nią czeka milionowy spadek i serce kochającego dziadka. Zjeździłem wszystkie kraje Europy, kilka lat spędziłem w podróży i wreszcie znalazłem cię, pani Panno Leonoro Armyn racz pospieszyć do zamku swoich praojców i przybrać należne tobie nazwisko!

To powiedziawszy, Ferrars wstał z krzesła i ukłonił się Leonorze ceremonialnie. Nastała pauza.

Leonora zamyśliła się głęboko; wyglądała jak we śnie pogrążona. Dopiero po długiej chwili przetarła czoło, westchnęła głęboko i spytała z odcieniem smutku i niepokoju.

— Pan jesteś zapewne ajentem policji?

— Tak jest, milady. Nazywam się Francis Ferrars, Scotland Yard.

— Zdaje mi się, że pańskie posłannictwo daremne, bo moje przeznaczenie takie, abym dla świata przepadła w zapomnieniu, równie jak moja matka.

— O nie, milady. Wiem dobrze, dlaczego pani to mówi. Zapewniam najuroczyściej, że wszelkie obawy są bezpodstawne. Poznałem wszystkie okoliczności, które panią skłoniły dwa razy usunąć się przed opieką najlepszego swego przyjaciela p. Nelly Stuarta. On z całem wysileniem pracuje nad tem, żeby wykryć prawdziwego zbrodniarza, a panią uwolnić od wszelkiego niepokoju. Pomaga mu w tem jego przyjaciel Jocellyn, a teraz i ja się do nich przyłączyłem. Niech pani z całem zaufaniem powierzy nam swe losy.

Taka była w tem przemówieniu stanowczość tyle w twarzy Ferrarsa malowało się poczciwości, że nie można było wątpić w jego szczerość. Aptekarz podał rękę Ferrarsowi i rzekł, zwracając się do Leonory:

— Pod taką opieką odzyskasz spokój i szczęście!

XXIII.

NIEZWYKŁY ZŁODZIEJ.

Laura użalała się bardzo na ból głowy i przeprosiwszy kuzynka, że go samego zostawić musi, udała się do swego pokoju. Pani Richards zaniepokoiła się bardzo cierpieniem Laury, przyszła też zaraz, aby jej doradzić lekarstwo.

— Ot, najlepiej niech się pani położy wcześnie do łóżka i wyśpi spokojnie, a głowa boleć przestanie. Zrobimy kompresik na głowę, to także będzie dobrze

Laura usłuchała. Kazała się pokojówce rozebrać i weszła do łóżka. Pani Richards przyrządziła jej kompresy i doradziła napić się wody; nawet nalała jej sama do szklanki, przyczem niepostrzeżenie wpuściła tam kilka kropel płynu, który miała we flaszce przy sobie.

— Szklanka świeżej wody także przyczyni się do uspokojenia bólu.

Gdy Laura istotnie spragniona wypiła podaną sobie wodę, troskliwa zarządczyni przyłożyła jej nowy kompres, także niepostrzeżenie jakimś płynem pokropiony i odeszła, zostawiwszy płonącą świeczkę na szafeczce przy łóżku.

W godzinę potem otwarłw się cicho drzwi sypialni i wszedł ostrożnie zamaskowany mężczyzna otulony czarnym płaszczem. Zbliżył się jak cień ku śpiącej Laurze, wziął świecę płonącą i przesunął ją przed oczyma śpiącej, ale nawet nie drgnęła. Wtedy wsunął rękę pod poduszkę, wyjął klucze i poszedł do przyległego buduaru.

Tu otworzył małą elegancką szafeczkę i przy świetle krytej latarki rozpoczął przegląd tego, co się w onej szafeczce mieściło.

Najpierw nasunęła mu się w rękę szkatułka z precjozami; były tu brylanty, djamenty, szmaragdy i szafiry niezwykłej wartości, a prócz tego drogocenny naszyjnik z pereł. W innej szkatułce był zegarek damski wysadzany brylantami, z wyrytem napisem: „Kochanej Laurze od ojca". Znalazł też elegancki rewolwer angielskiego wyrobu, całkowicie nabity.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tam gdzie ziemia drży pod stopami: W zniszczonem Tokjo życie znowu wre Ponieważ szkoła legła w gruzy, nauczyciel odbywa lekcję z dziećmi w parku pod gołem niebem i na amfiteatrze sportowym.

Tam gdzie ziemia drży pod stopami.

Zaledwie cztery miesiące upłynęły od tej straszliwej katastrofy, która stolicę Iaponji Tokjo i jej największy port Jokohamę zamieniła w gruzy — a już niezwykle żywotna i nieustępliwa ludność zbudziła nowe życie w ruinach. Gorączkowa praca wre wszędzie. Świat nie usłyszał ani słowa skargi, ani jednej prośby o pomoc od narodu japońskiego. Zamknęli się w milczeniu i — w pracy. Jak mrówki milczące — tak z wytrwałością i uporem synowie krainy Wschodzącego Słońca zaroili się wśród gruzów swoich domów i bez lamentów ani rozpaczy, bez oglądania się na żadną obcą pomoc — rozpoczęli wśród ruin budować ogniska nowego życia. 350.000 domów zostało zburzonych w czasie katastrofy. W ciągu trzech miesięcy stanęło na ich miejscu gotowych już 140.000 baraków a dalszych 50.000 było na ukończeniu. Wzdłuż zrujnowanych ulic stanęły baraki, budki ze sklepami, nawet pod odkrytem niebem na matach dawni kupcy rozłożyli swe towary, osiągające dziś niesłychane ceny, i sprzedają je wśród ożywionego ruchu, natłoku i wrzawy.

W dzielnicy szkolnej stanęły już także setki szkolnych baraków, na terenach oczyszczonych z gruzów przez młodzież szkolną lub studentów. Gdzieniegdzie pod gołem niebem, w parku nauczyciele prowadzą swe lekcje. Zdala sterczą zgliszcza — pomiędzy nimi zaś wre życie, kursują już na nowo przepełnione tramwaje. Tokjo żyje na nowo.

Smutniej i śmiertelniej jest w Jokohamie, szczególnie w dzielnicy europejskiej. Tam do dziś leżą trupy spalonych i zabitych przez gruz, — do dziś prawie żywego ducha nie ujrzeć wśród ruin. Nic dziwnego. Kulisi chińscy żądali za dzień pracy przy odgrzebywaniu zabitych — 15 jenów, czyli około 150 miljonów marek (jen równy jest dolarowi). Jedna z firm angielskich musiała zapłacić 25.000 jenów tylko za oczyszczenie jej terenu z gruzów. To też nic dziwnego, że w tej dzielnicy do dziś ruiny w znacznej mierze leżą nietknięte, a pod nimi do dziś spoczywają nieodnalezione trupy.

Jokohama jest martwą. Tylko jej część japońska nieco ożyła, tak jak Tokjo, wśród którego gruzów nowe życie wre w pełni i kipi.

I nic nie znaczy, że od czasu do czasu, co kilka tygodni lub nawet co dni kilka ziemia drży pod stopami budujących na gruzach. Nic to, że ci co budzą wśród ruin życie nowe czują co pewien czas nowe kołysanie się ziemi pod nogami i słyszą dolatujący trzask ocalałych z poprzedniej katastrofy domów, których 500 znowu runęło przed dwoma tygodniami, — jak doniosły o tem depesze.

Nic to. Japończyk może się lękać trzęsienia ziemi, choć nie ono to pochłonęło tyle ofiar, lecz inny, straszniejszy jeszcze żywioł — pożar, którego nie lękają się wcale. Ale pomimo całego lęku, pomimo tego, że trzęsienia ziemi są tam niemal codziennemi zjawiskami — Japończyk nie ustąpi — trwa i uporczywie trzyma się na swej glebie rodzinnej, choć mu ona drży pod stopami.

Mrozy i powodzie.

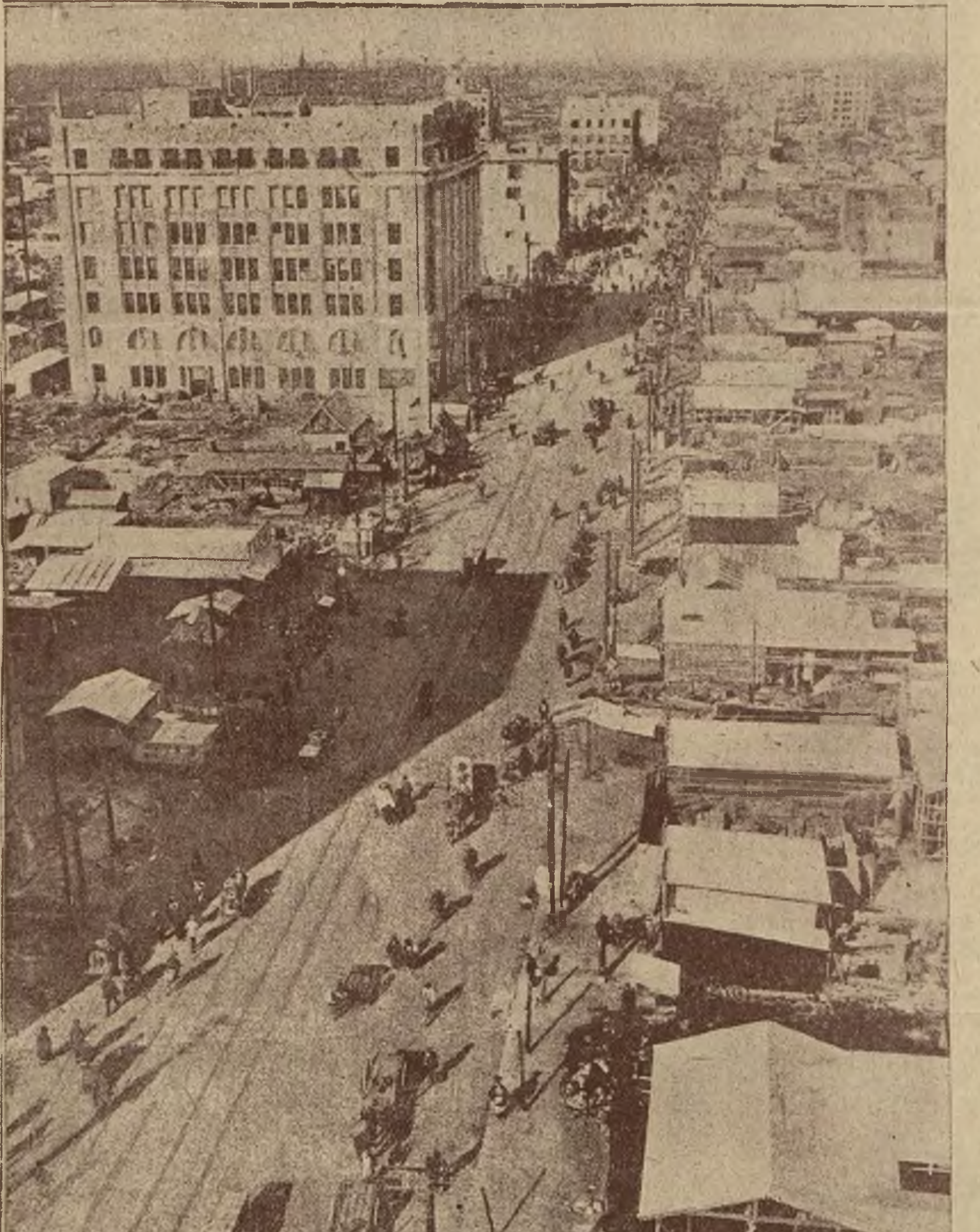
Po długim okresie łagodnej, jesiennej pogody w grudniu — zima uwzięła się na dobre. Mróz ścisnął dotkliwie i śnieg olbrzymim pokrowcem osnuł Polskę całą. Nasz stary Kraków szczególnie piękną i uroczą przybrał szatę przed tygodniem, gdy szron koronkowemi girlandami ubrał drzewa wszystkie na plantach i skrzył się w bladym blasku zimowego słońca. Przyszła wprawdzie kilkudniowa odwilż. Szron zginął a fatalne krakowskie błoto zalało wszystkie ulice. Wobec olbrzymich ilości śniegu w tym roku niebezpieczeństwo groźnych powodzi zajrzało nam już poważnie w oczy. Lecz odwilż była chwilowa. Mróz znowu powrócił i jeszcze silniej ujął w karby lodu całą powłokę ziemi. Zima ostała się i zwyciężyła.

To u nas.

Natomiast z zagranicy, z Francji i z Rosji nadchodzą coraz groźniejsze wieści o powodziach. W Paryżu całe ulice na przedmieściach zalała wezbrana Sekwana.

Petersburg został nawiedziony katastrofalną powodzią, którą prasa nazywa bezprzykładną. Masy lodowe w jeziorze Ładoga, które wskutek odwilży oderwały się, płyną wzdłuż rzeki. Nawet części miasta, które nie zostały zalane w czasie powodzi w roku 1824, obecnie znajdują się pod wodą. Również obszary wzdłuż dolnej Wołgi stoją na obu brzegach na szerokości 50 klm. pod wodą. Zapasy drzewa znajdujące się tam, zostały porwane przez wodę.

Słusznie uczyniły nasze władze, że wydały szereg zarządzeń i poczyniły przygotowania na wypadek powodzi u nas. Bo niewiadomo jeszcze jak groźne niespodzianki może nam urządzić zmienna i kapryśna pogoda.



Tam gdzie ziemia drży pod stopami: Tokjo w 2 miesiące po trzęsieniu ziemi. Jedna z głównych ulic Nihonbaszi-Dori wypełnione jest znów życiem płynącem wzdłuż linji baraków. Nawet tramwaje kursują.



VIII. Olimpjada: W Chamonix. Komitat organizacyjny zawodów: p. Frantz-Reichel Sekretarz gener. francuskiego komitetu olimp., p. Edstrom Prezes Międzynar. Feder. Atletycznej, p. Peycelon delegat rządu franc. dla spraw olimpijskich.
Fot. Franc. Kom. Olimp.

Narciarze polscy na Olimpjadzie.

Dnia 25 stycznia rozpoczęły się w Chamonix u stóp majestatycznej korony Mont Blanc olbrzymie międzynarodowe zawody sportów zimowych, stanowiące pierwszą część tegorocznej, ósmej z kolei Olimpjady, rozgrywającej się tym razem na ziemi francuskiej.



Grupa zawodników polskich, którzy biorą udział w Olimpiadzie w Chamonix na wyjezdnem z Krakowa. Stoją (od lewej do prawej) Bujak, Krzeptowski, pułkownik dr. Osmólski, p. Ela Ziętkiewiczowa i kapitan Ziętkiewicz. Fot. am. St. Leo.

O niezwykłych, na ogromną skalę poczynionych przygotowaniach do tej Olimpjady pisaliśmy już w swoim czasie i podawaliśmy zdjęcia nadesłane nam uprzejmie przez Francuski Komitet Olimpijski w Paryżu. Dość przypomnieć, że zbudowano kilkukilometrowy tor dla bobsleighów i specjalną kolejkę napowietrzną, linową do wciągania saneczek i bobów z powrotem pod górę, że torem narciarskim będą rozległe zbocza najwyższego szczytu Alp — Mont Blancu, że wreszcie dla konkursów łyżwiarskich zbudowano ślizgawkę największą na świecie, bo o powierzchni 36.000 metrów kwadr.

Dziewiętnaście narodów zgłosiło już swój udział w tych konkursach sportów zimowych: Stany Zjednoczone Ameryki, Anglja, Francja, Belgja, Włochy, Szwajcarja, Hiszpanja, Szwecja, Norwegja, Austrja, Węgry, Czechosłowacja, Jugosławja, Polska, Estonja, Łotwa, Finlandja, Kanada i Argentyna.

* * *

Jak nam komunikują, wszelkie trudności, jakie stały na przeszkodzie wyjazdowi polskich narciarzy do Chamonix zostały usunięte dzięki energji Zarządu P. Z. N. Dnia 22 b. m. z Krakowa wyjechała na Zawody grupa złożona z patrolu wojskowego i 2 zawodników cywilnych.

W skład grupy pozostającej pod d-twem por. Woycickiego wchodzą: Witkowski, Chrobak, Kądziołka i Tomera.

Jako zawodnicy cywilni jadą Krzeptowski i Bujak.

Zawodnicy nasi wezmą udział we wszystkich biegach, przewidzianych w programie zawodów.

Prócz powyższej grupy wyjeżdża na Zawody najlepsza polska narciarka p. Ela Michalewska-Ziętkiewiczowa. Jakkolwiek w programie Zawodów biegi pan nie są przewidziane, zarząd Główny P. Z, N. otrzymał informacje, że biegi takie odbędą się poza konkursem. Wobec tego obecność na zawodach pani Ziętkiewiczowej jest bardzo pożądana, daje ona bowiem gwarancję, że wśród zawodniczek będzie jedną z najlepszych sił.

Przypuszczać należy, że skład polskiej grupy zapewni jej, jeśli nie jedną z pierwszych, to w każdym razie nie ostatnie miejsce wśród zawodników.

Jako delegaci p. Z. N. na Kongres Narciarski wyjeżdżają pp. podpułkownik Osmólski i Dr. Szatkowski.

Z kół sportowych otrzymujemy wiadomości, że pomyślne załatwienie sprawy wyjazdu polskich narciarzy na Zawody Olimpijskie zawdzięczać należy staraniom osobistym Pana Ministra Spraw Wojskowych gen. Sosnkowskiego.

Świat sportowy niewątpliwie będzie nader wdzięczny Panu Generałowi Sosnkowskiemu za ten pomyślny wynik kampanji, która toczyła się w ciągu ostatniego tygodnia, o wyjazd patrolu wojskowego do Chamonix.

Tak więc nieliczna ekspedycja narciarska nie będzie uszczuplona.



„Kaligula" w teatrze im. Słowackiego: Reż. Antoni Piekarski w akcie II-gim.

„Kaligula" K. H. Rostworowskiego
w teatrze im. Słowackiego.

Wznowiony po 7 latach od głośnej premiery w r. 1917 potężny dramat autora „Judasza" święci znów na scenie naszej ponowne tryumfy, dzięki swej niesłabnącej atrakcyjności, a także znakomitemu obecnie wykonaniu. Sztuka ta stojąca popisową rolą tytułową, przyrównywana do „Ryszarda III" miała u nas doskonałych poprzednio wykonawców pp. Leonarda Bończę i Ludwika Solskiego, obecnie kreował ją p. Antoni Piekarski, zdobywając olbrzymi sukces świetną i twórczą grą, podnoszoną zgodnie przez całą krytykę jako wysoki wyraz sztuki aktorskiej.

Podajemy w numerze niniejszym fotografję p. Piekarskiego, który obok innych zalet posiada i sztukę fotografowania się zdobytą w kinie, gdyż jest również jednym z wybitniejszych w Polsce artystów kinowych.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Majerski w Łucku. Za życzliwość dziękujemy. Wprowadzenie działów, o których Sz. Pan pisze, — projektujemy.

P. St Bil., Kraków „Przyrzeczenie" — pisze się zwykle przez rz, a nie ż, i „nie chcąc" pisze się oddzielnie a nie razem.

List pański zdradza niezbyt dokładną znajomość zasad ortografji oraz form przyzwoitości. — W koszu.



Patrol wojskowy, który wyjechał na olimpijskie zawody narciarskie do Chamonix pod dowództwem por. Wójcickiego przed D. O. K. Kraków po raporcie u gen. Kulińskiego. Fot. am. St. Leo.



Mrozy i powodzie: Kraków otulony śniegiem i dekorowany szronem. Fragment plant około Barbakanu.
Fot. amat. p. St. Leo.

Co wiedzą w wojsku polskiem o Juljuszu Słowackim.

Znany literat, obecnie jeden z kierowników pracy oświatowej w wojsku mjr. Marjan Dąbrowski opisuje w „Polsce Zbrojnej“ wrażenia swe z egzaminów historji i literatury polskiej na oficerskich kursach polonistycznych. Smętne są te wrażenia. Najcharakterystyczniejszym jest jednak obrazek z koszar żołnierskich w Ostrowiu-Komorowie.

Oto co pisze mjr. Dąbrowski:

„Na pocieszenie odbyłem wizytację oświatowo-kulturalną koszar. Wszędzie zakres nowy, wszędzie życie wre, przełamuje się forma „cywila“, nabiera życia wojskowego nowy obrońca Polski.

Duża izba koszarowa. Na bielonej ścianie zamiast bojowych scen z Kaukazu lub illustracji szturmu Plewny, wisi skromny, wyblakły od słońca portret Króla-Ducha.

Boże drogi, prawdziwy symbol naszej oświatowej pracy w wojsku... Kto go tu zna, kto o nim słowo jedno może powiedzieć, kto z tych szarych żołnierzyków czy nowych rekrutów zainteresuje się Juljuszem Słowackim?

Podchodzę do żydka z Pragi.

— Dobrze wam w wojsku? — pytam.

— Co nie ma być dobrze, panie major.

— A wiecie, czyj to portret na ścianie?

Przymruża żydek oko chytrze, wpatruje się w smutne oczy portretu, po chwili wahania mówi:

— To teraźniejszy Naczelnik Państwa, pan Wojciechowski.

Na sali śmiech. Najgłośniej śmieje się szofer z Solca w Warszawie.

— No, a wy wiecie, kogo ten portret oznacza?

— Wiem panie majorze, tylko przeczytam podpis — sprytnie odpowiada dziecię Warszawy.

— Zbliżcie się i przeczytajcie.

— Juljusz Słowacki.

— Cóż wiecie o Juljuszu Słowackim?

— To był dobry patrjota i wielki wojskowy w Polsce — pali prosto z mostu obywatel z ulicy Solec.

— Hm, wielki wojskowy mówicie, a przecież ma taki cywilny ubiór, nawet kołnierz od koszuli na wierzchu.

— To już nie wiem — kto to taki.

— No kto z was na sali wie, może który z podoficerów wie, — pytam.

Staje przedemną kapral — Kowalczuk.

— Melduję panie majorze, że ja wiem — to był taki *piśmiennik* polski, jak u nas na Ukrainie Taras Szewczenko. Dużo pisał wierszami o Ukrainie, „Pana Beniowskiego“, „ks. Marka“ napisał.

Wyznaję otwarcie, że zrobiło mi się duszno. Takiej odpowiedzi od żadnego z egzaminowanych oficerów nie słyszałem i zapewne nie usłyszę. Koledzy moi po za „Ojca Zadżumionych“ i „Kordjana“, a i to w urywkach, czytanych przez nauczycieli, niewychodzili w swej znajomości Słowackiego“.



Mrozy i powodzie: W Krakowie mróz udekorował przepysznie drzewa na plantach koronkami szronu. Fragment plant koło sadzawki. Fot. amat. p. St. Leo.

„W krainie baśni“.

Dziecinny bal kostjumowy we Lwowie na dochód ociemniałych sierót w Polsce.

W dniu 26 grudnia 1923 urządziło Towarzystwo dla wspierania ociemniałych sierót we Lwowie przy pomocy bardzo ruchliwego Komitetu pań i panów kostjumowy bal dziecinny na dochód ociemniałych sierót ze wschodniej Małopolski, który zgromadził najlepsze sfery i nadzwyczaj piękny miał przebieg.

Rezultat okazał się pod każdym względem świetny.

Wspaniale ukostjumowane i zachwycająco piękne grupy bajkowe jak: różyczka, śnieżyczka i czerwony kapturek znalazły żywe uznanie.

Ponadto można było tam widzieć wiedeńską praczkę, zakopiańskie typy górali, grupy Krakowiaków w strojach narodowych, motyle, rococo, trefnisie, arlekin, pierrot i wiele innych.

Każde dziecko które brało udział w zabawie przyczyniło się wydatnie do upiększenia balu.





W Krainie baśni: Grupy młodocianych uczestników balu dziecięcego we Lwowie. Fot. M. Münz we Lwowie.

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry
fabryk angielskich i francuskich
Poleca.
Polska Centrala Handl. Nićmi **S. WEGENKO i Ska**
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
Warszawa, Krucza 24. Tel. 137-17 i 266-14.
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.

Materyały wełniane!

na suknie i kostyumy damskie

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze
i po cenach konkurencyjnych
poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:

Helena Smolarska

Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

KAPELUSZE damskie
o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje
„ANTONINA" pracownia kapeluszy damskich
Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.
- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

Zbrodnią!
Podłością!
Nikczemnością!
byłoby wpisywanie się do zagranicznych towarzystw korespondencyjnych, gdy jedynem polskiem towarzystwem międzynarodowej wymiany jest
„Orient-Okcidental"
Adres: **Kraków, ul. Reforyka L. 1, II. p**
Wkładka roczna 5 fr. walor. po kursie dziennym.

Najtańsze źródło zakupu

Prawdziwych Dywanów Perskich

Bardzo rzetelna obsługa.
Oglądanie nie obowiązuje do kupna — tylko u
I. Lewkowicza, Kraków, ulica Grodzka L. 39.

FIRANKI, PORTJERY i KAPY NA ŁÓŻKA
poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

RUTYNISTA buchalter i korespondent, były szef oddziału taryfowego w wielkim przedsiębiorstwie spedycyjnem, z praktyką bankową, organizator energiczny i przedsiębiorczy, poszukuje posady poza Krakowem. — Łaskawe zgłoszenia z podaniem warunków do Admin. „Nowości Illustr." Kraków, ul. Kazimierza Wielk. L. 95. pod „Tebe".

KAWALER, ze starej rodziny na wysokiem stanowisku z powodu braku znajomości, po powrocie z Ameryki zawiąże znajomość z panną lub młodą wdową.—
Cel matrymonialny.—
Zgłoszenia nieanonimowe z fotografiami nadsyłać do administracyi „Nowości Ill." pod literę B. N.

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza I. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecęcego.
Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

DRUKARNIA

— — — POD FIRMĄ D. E. FRIEDLEINA — — —
KRAKÓW, UL. KAZIMIERZA W. 95

WYKONUJE WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES DRUKARSTWA WCHODZĄCE: TABELE, AKCYE (wielobarwne), BROSZURY, CENNIKI, AFISZE i t. d. — — — PO CENACH KONKURENCYJNYCH

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red. Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Grenusia (firma Friedleina)